

Władysław Bartoszewski

[Janusza Krupskiego miałem szczęście poznać...]

Źródło: „Kombatant” nr 4, 2010, s. 17 (notował Mariusz Kubik).

Janusza Krupskiego miałem szczęście poznać w 1973 roku, w okresie Jego studiów historycznych na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Użyłem określenia „szczęście”, ponieważ należał On do tych moich słuchaczy, potem znajomych, wreszcie przyjaciół ze środowiska uniwersyteckiego w Lublinie, których szczególnie ceniłem. Obok Bogdana Borusewicza – obecnego marszałka Senatu RP, który był w tej samej grupie przyjaciół i należał do najbliższych Krupskiemu ludzi.

W mojej pamięci zapisał się jako człowiek wybitny i wyrastający zachowaniem, postawą, umiejętnością postrzegania, przewidywania ponad to, czego można było oczekiwać od dwudziestokilkulatka urodzonego i wychowanego w prowincjonalnym mieście. Był jednym z nielicznych, na których zwrócono mi uwagę, bym się Nim i Jego przyjaciółmi zainteresowałem. Nie musiałem Go szukać, ponieważ Janusz Krupski sam się zgłosił na moje seminarium i wśród jego uczestników odgrywał rolę szczególną. Na krótko przed moją działalnością na KUL, Krupski był jednym z nielicznych studentów, którzy dzielnie, przy pomocy interwencji prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego wywalczyli to, że nie utworzono na KUL Socjalistycznego Związku Studentów Polskich.

Zainteresowania Janusza Krupskiego były wyraźnie ukierunkowane na najnowszą historię Polski. Już w 1974 roku, między innymi pod wpływem moich wykładów, rozumiejąc potrzebę zdobycia środków technicznych na niezależną od władz działalność poligraficzną, podjął w tym kierunku działania. Teraz to się wydaje anachroniczne, ale wtedy to był wielki problem. Na początku 1976 roku, przy pomocy studiującego w Lublinie Piotra Jeglińskiego, który potem szybko wyjechał na Zachód, a który był tu niewątpliwie zasłużonym kooperantem, udało im się zdobyć powielacz; trafił on z zagranicy do Lublina. Na tym powielaczu zaczęto wkrótce, jesienią 1976 roku, powielać „Komunikaty” i „Biuletyn Informacyjny” KOR – bardziej usługowo, by działać na rzecz wolnej myśli i społeczeństwa obywatelskiego, a mniej ze względu na akces polityczny dla konkretnej grupy. Na tej samej zasadzie powielono również pierwsze trzy numery „Zapisu”.

Kiedy zaczęły się spotkania dyskusyjne w mieszkaniu Bożeny Wronikowskiej w Lublinie (rodzaj tajnego klubu dyskusyjnego) i kiedy tworzone pismo „Spotkania” w 1977 roku, Janusz Krupski był już po studiach. Uczestniczyłem w pracach nad tworzeniem tego pisma, udzielałem porad jego redaktorom. „Spotkania” ukazywały się nieregularnie od jesieni 1977 roku, ciągle za to zwiększając objętość. Trzydzieści pięć numerów „Spotkań” oraz kilkadziesiąt książek Biblioteki „Spotkań” to było Jego dzieło. Autorami tam występującymi byli księża profesorowie, niektórzy o znanych nazwiskach, nawet księża biskupi i arcybiskupi obok intelektualistów świeckich na ogół katolickich, ale nie tylko, bo były wśród nich osoby niezwiązane z Kościołem.

Ta działalność oraz żywe zainteresowanie dla spraw naszych sąsiadów pokazują rozległość perspektyw Janusza, który w tym miejscu Europy, blisko granicy białoruskiej i ukraińskiej, chciał budować wspólnotę przyszłości, która kiedyś wyda owoce, w nawiązaniu do pięknych tradycji Rzeczypospolitej Jagiellońskiej.

Był wielokrotnie zatrzymywany, przesłuchiwany, na różne sposoby szykanowany, ale mimo to pozostał wierny wartościom i niezawodny. Później, kiedy powstała „Solidarność” – jako ruch formalnie akceptowany, był od jesieni 1980 roku koordynatorem Sekcji Historycznej przy Międzyzakładowym Komitecie Założycielskim, a następnie w Zarządzie Regionu Gdańskiego. Jego działalność wyszła w ten sposób poza Lublin i stała się powiązana z sercem i centrum „Solidarności”, którym był Gdańsk i w pewnym stopniu Warszawa. Brał udział w tajnych i półtajnych działaniach, zwłaszcza edytorskich, „Solidarności”. Po wprowadzeniu stanu wojennego, gdy byłem internowany, z radością przyjąłem wiadomość, że wtedy uniknął internowania. Ukrywał się. Potem, krótko internowany, należał do tych, którzy się nie dali skusić obietnicom legalnego wydawania pisma za cenę jego ocenzurowania.

Gdy w 1983 roku przebywałem w Berlinie, dowiedziałem się o dziwnej historii porwania Go na ulicy w Warszawie przez Służbę Bezpieczeństwa. Potem się okazało, że dokonała tego ekipa kpt. Grzegorza Piotrowskiego. Janusz Krupski był poważnie poparzony żrącą substancją i pozostawiony w lesie. Ocalał niemal cudem. Długie lata nie mógł się doczekać pełnej moralnej satysfakcji wymierzenia sprawiedliwości. Skończyło się na łagodnych formach ukarania sprawców łajdackich działań, które tylko przypadkiem zakończyły się szczęśliwie.

Janusz Krupski miał w życiu niezwykle szczęście, co Go umacniało i pozwalało iść dalej. Wzmocnił Go związek z Joanną Puzynianką, ze znakomitej starej, polskiej rodziny Puzynów. Joanna, córka wybitnej lingwistki, Jadwigi Puzyniny, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, wtedy studentka KUL, została Jego żoną. Był to związek uchodzący za źródło siły i satysfakcji dla nich obojga. Małżeństwo, z którego pozostało teraz osieroconych siedmioro dzieci i ich matka – wspaniała działaczka laikatu katolickiego. Joanna Krupska, która przychodzi mi bezustannie na myśl w rzędzie najbardziej poszkodowanych Polaków przy każdym wspomnieniu tragedii smoleńskiej.

Janusz Krupski robił rzeczy ważne, usiłował w Polsce przełomu i potem podjąć działalność wydawniczą. Prowadził ją na własny rachunek, zajmował się sprawami związanymi z historią. Nie był człowiekiem interesu, przeciwnie – miał tę szlachetną naiwność prawych ludzi, którzy ufają innym.

Po powstaniu Instytutu Pamięci Narodowej był kilka lat jego wiceprezesem. Powszechnie szanowany, reprezentował IPN w działaniach publicznych, szczególnie tych związanych z kombatantami. Kilka razy towarzyszyłem Mu w podróżach. Pozostało to w moim osobistym wspomnieniu, jak bardzo był wrażliwy na kontakty z ludźmi, jak doceniał ich zaangażowanie i działanie na rzecz pamięci narodowej. Pozostał tej pamięci wierny, kiedy odszedł z własnej woli z IPN, gdy przegrał jednym głosem w konkursie na stanowisko prezesa. Bóg połączył Go tragicznego 10 kwietnia we wspólnej śmierci z Januszem Kurtyką, na którego rzecz przegrał wtedy tę konkurencję.

Został szefem Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, znajdując tam teren działania wśród pokolenia Jego rodziców, a nawet dziadków. Stykał się z ludźmi niekiedy obciążonymi bagażem urazów, trudnych doświadczeń, problemów i konfliktów. Taka jest polska rzeczywistość i taka jest rzeczywistość ludzi dotkniętych traumą II wojny światowej, którą rozumiał. Usiłował być człowiekiem porozumienia, łagodzenia konfliktów, znajdowania dróg wyjścia. W moim przekonaniu oraz z obserwacji wynikających z Jego zaufania do mnie i z rozmów prywatnych był w roli opiekuna kombatantów niezastąpiony. Byłem z nim umówiony 12 kwietnia, aby omówić planowaną osobną podróż do Katynia. Nieformalnie, bo mnie w żadnej mierze nie podlegają sprawy kombatanckie. Do Rady do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych wszedłem zaś dopiero w wyniku inicjatywy Janusza Krupskiego i ze względu na Niego, ponieważ należał do osób, których powodzenie szczególnie mnie interesowało. Wiedziałem, że da sobie radę, ale chciałem Mu pomóc.

Ten stosunek wzajemnego zaufania i pomocy wyklucza całkowicie obiektywne kreślenie Jego biografii, bo był dla mnie jednym z duchowych synów. A o biografiiach własnych synów trudno mówić obiektywnie.

Władysław Bartoszewski jest członkiem Rady do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych przy kierowniku Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz sekretarzem stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.